



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



„Yorick”

Quo vadis

– Wiesz, że jest wojna i ja w domu obejmuję dowództwo? – powiedział mój dwunastoletni brat Gienek.

– Dlaczego ty? To ja będę dowódcą! – zawołałem.

Żaden nie chciał ustąpić, więc rzuciliśmy się na siebie z pięściami i dopiero babka Rozalia nas rozdzieliła.

– Jak wam nie wstyd? Westerplatte ciągle się broni, a wy tak się zachowujecie!

Powoli wstawaliśmy z podłogi. Co ta babka może wiedzieć o wojnie? Przecież jest kobietą i nie rozumie nas – mężczyzn. Przecież w ten sposób okazujemy gotowość do walki.

Przerwaliśmy spory, bo do pokoju wszedł ojciec. Był w polowym mundurze, w hełmie, a u boku dyndał mu wielki pistolet – przedmiot naszej zazdrości. Ojciec w stopniu porucznika służył w 1 pułku artylerii przeciwlotniczej, który mieścił się tam, gdzie dzisiaj jest Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, przy ulicy Rakowieckiej. Mieszkaliśmy wtedy w szarym, czteropiętrowym domu na Wiśniowej 54. Budynek oparł się upływowi czasu i stoi tam nadal. Kiedy przychodzi do mnie nocą cały jest rozświetlony słońcem, bo to dom szczęśliwego dzieciństwa. Z naszego balkonu na drugim piętrze widać było co się dzieje na placu apelowym. Czasami maszerowali tam żołnierze, a orkiestra grała im „Pierwszą brygadę”, aby równo szli, a niekiedy nocą rozlegały się gwizdki alarmowe i w kilka minut cały pułk stawał na baczność. Wtedy dowódca – pułkownik Baran, wołał: „Czołem żołnierze!” Echo powtarzało ten okrzyk tysiąc razy. Lubilem go i do dzisiaj wspominam. Ale tego dnia na placu pułkowym było cicho. Przy magazynie broni po lewej stronie chodził żołnierz z bagnetem na karabinie, a na głowie błyszczał mu hełm. To znak, że stało się coś niezwykłego. Ojciec miał bardzo poważną twarz. Od kilkunastu dni nie wychodził z koszar i wpadał do domu codziennie tylko na kilka minut. W pułku obowiązywało ostre pogotowie. W domu też coś się szykowało. Odbyła się narada rodzinna.

– Warszawa będzie broniona – zaczął ojciec. – Mogą być ciężkie walki. Musimy wytrzymać do czasu, aż ruszą Francuzi i Anglicy. Lepiej wyjechać z miasta. Zresztą cywile tylko przeszkadzają wojsku. Dostałem na to kilka godzin od dowódcy pułku.

„Nie jest to złe – pomyślałem. – Nie będzie szkoły, a ja mam poprawkę z matmy. Ale wyjechać – za nic. Czy ja jestem dziewczyną?! Nie wyjadę. Umiem obchodzić się z bronią, więc się przydam”.

Ojciec był człowiekiem stanowczym. O dziesiątej wieczorem nastąpiła ewakuacja rodziny. Przed naszą kamienicę podjechał wielki samochód bagażowy z napisem „Szicht – najlepsze mydło”. Matce i babce wszystko leciało z rąk. Wzięły kołdry, poszewki, obrazy, komplet platerów „Frageta”, ale przy sokach ojciec się wściekł i kazał żołnierzowi ruszać. Zabraliśmy jeszcze psa. Jechaliśmy Rakowiecką do

placu Unii Lubelskiej, gdzie na środku stał pomnik Lotnika, a później Alejami Ujazdowskimi. Samochód posuwał się bardzo wolno, a właściwie pełził przez miasto – teraz jakby wymarłe. Wygaszone latarnie, puste wystawy sklepowe, zasłonięte okna. To wojna położyła rękę na twarzy miasta. Co kilka kilometrów zatrzymywały nas wojskowe posterunki i sprawdzały dokumenty. Rozlegały się też okrzyki: „Stój, bo będę strzelał”. Słychać było trzask przeładowywanych karabinów.

Zmierzaaliśmy w kierunku wsi Lipki, znajdującej się pod Wołominem, gdzie mój dziadek kupił od podupadłego dziedzica kawałek ziemi wraz ze starym domkiem. Zwykle spędzaliśmy tam wakacje. Obok szumiął stary las, a przed okna przychodziły dziki. W połowie drogi przejazd zatamowała nam gromada ludzi. Staliśmy i staliśmy. Wreszcie żołnierz, który prowadził auto wysiadł, aby sprawdzić co się dzieje. Za chwilę podbiegł do samochodu i zawołał:

– Panie poruczniku, złapali dywersanta, zaraz go będą rozwalać!

Ojciec wysiadł. Szedłem za nim krok w krok i wszystko widziałem. Przed jakimś sklepem stała gromadka ludzi, a ulicę zablokowały chłopskie wozy. Zobaczyłem dwóch policjantów w granatowych mundurach, jakiegoś kolejarza i kilku mężczyzn wyglądających na robotników. Widziałem też kobiety – one najgłośniej domagały się kary.

– Co tu się dzieje? – usłyszałem głos ojca.

Policjant oświetlił nas latarką, a później odezwał się:

– Melduję panie poruczniku, że złapaliśmy dywersanta.

– Dawał znaki lotnikom – zawołał ktoś.

– Szpieg! Piąta kolumna – powiesić go! – wtórował mu inny.

Ojciec wziął latarkę z rąk policjanta i oświetlił twarz szpiega.

– Macie dokumenty? Pokażcie – zwrócił się do mężczyzny.

– Nie mam, bo...

– Nie ma, to szpieg, rozwalić go, bo się wywinie – wołali rozwścieczeni ludzie.

Mężczyzna był tylko w bieliźnie, boso. Widząc to ojciec zapytał już innym tonem:

– Dlaczego nie zgłosiliście się do swojego oddziału i co tu robicie w gaciach?

– Jestem... kulawy – powiedział cicho tamten. Nie wzięli. Ja mieszkam tu w trzecim domu i wyszedłem na trochę. Nazywam się Józef Rybak i mam obok stolarnię.

– Kto zna Józefa Rybaka i może potwierdzić, że to on?

Tłum był niezadowolony. Zaczął napierać.

– Broni go! Wywinie się łobuz, pod ścianę z nim! A ten kim jest? Czy to prawdziwy oficer?

Wtedy ojciec wyjął z kabury pistolet, zarepetował i zawołał:

– Odstąpić, bo będę strzelał! Kto go zna do cholery?!

– Ja. Ja i ja – kilka osób zaczęło się przepychać przez tłum.

– Dlaczego nie zgłosiliście się od razu? – wrzeszczał ojciec. – Bez samosądów mi tu, psiakrew!

– Baliśmy się, ale to stolarz, Józek Rybak.

Ojciec schował pistolet do kabury. Ludzie rozeszli się i nagle wszystko się skończyło – tak jak przechodzi burza. Ruszyliśmy. Nim zasnąłem usłyszałem słowa, których wtedy nie mogłem zrozumieć:

– Po diabła on w gaciach wychodził na drogę? – mówił kierowca do swojego towarzysza.

– Oj, Stasiek, Stasiek. Od baby wyszedł i dlatego był w gaciach. Nie rozumiesz?!

– Od baby? – dziwił się tamten. – Wojna, a on do baby chodzi?

– No właśnie dlatego – zaśmiał się drugi żołnierz.

Zasnąłem w samochodzie, a kiedy się obudziłem, ojca już nie zobaczyłem. Odjechał tym dziwnym pojazdem, zarekwirowanym przez wojsko i nieprędko miałem go ujrzeć ponownie. Jeszcze tej nocy, nad ranem, poszedł ze swoim pułkiem na front. Dziwna wydała mi się ta wojna. Nie było kolorowych szarż z obrazów, jakie widziałem w mieszkaniu mojej babki Rozalii. Żołnierze nie biegali z okrzykiem „hurra na bagnety”, o czym czytałem w książkach mojego ulubionego autora Wacława Gąsiorowskiego. Już drugiego dnia widziałem żołnierza zabitego przez niemieckiego pilota. Chłopak miał rozplątany brzuch, a Niemiec odstrzelił mu głowę. W ustach żołnierza siedziały duże muchy. Cuchnął. To taka jest śmierć za ojczyznę? I wreszcie nadszedł ten najgorszy dzień. W ogrodzie zbieraliśmy jabłka. Gienek siedział na drzewie. Nagle usłyszeliśmy huk motorów.

– Czołgi! Czołgi! – zawołał Gienek. – Idą nasze czołgi! Teraz im pokażemy!

Zaraz jednak zlął z drzewa i posmutniał.

– One mają czarne krzyże – powiedział cicho.

A więc Niemcy. Przyszli tu. Dziadek kazał nam wejść do domu i zamknął drzwi. Sam stanął przy oknie i obserwował zza firanki. Z podwórka dolatywał gwar głosów, później śmiechy i parskania. Niemcy myli się przy studni. Babka uchyliła trochę okna, aby lepiej widzieć. Wtedy nasz pies Amigo wykorzystał ten moment i wyskoczył. Rozległo się głośnie szczekanie i jakieś krzyki, a zaraz później strzały z rewolweru.

– Zabiją go! – powiedział dziadek.

Nie nadaję się na bohatera, lecz wtedy nie wytrzymałem. Jednym susem dopadłem drzwi i wybiegłem na dwór. Przy studni stało trzech Niemców. Jeden z nich strzelał w powietrze, aby odgonić psa. Przy płocie, który szczelnie zamykał podwórze, stał Amigo i w pysku trzymał zdobyte mydło. Niemcy zostali zaskoczeni moim nagłym pojawieniem się. Wydali mi się śmieszni i nie tak groźni. Zwycięzcy uciekali przed moim psem i głupio wyglądali rozebrani. Gdy odetchnęli, jeden zaczął mówić bardzo szybko, lecz ja wszystko rozumiałem, bo uczyłem się tego języka.

– Niech ten diabelski pies odda nasze mydło – powiedział Niemiec.

– On jest bardzo łagodny, tylko nie lubi obcych – odparłem. Zagwizdałem. Amigo przyszedł, usiadł i oddał mydło.

– Der Klüger – mądrała – rzucił Niemiec. Ale mydło zostało doszczętnie pogryzione i nie nadawało się do użytku. Wyniosłem im inne, firmy „Palmolive”, a oni – zdumieni – podziękowali grzecznie. Nie byli to SS-mani, tylko Wehrmacht.

Minęło wiele dni. Warszawa padła. Nadszedł 27 września. Niemcy zajęli miasto. Pociągi nie kursowały, autobusy też nie. Chłopi bali się furmankami jechać do Warszawy nawet za złote ruble. Poszliśmy więc piechotą: matka, Gienek, ja i Amigo. Każdy niósł plecak z mizernym zapasem żywności. Nawet Amigo miał przytroczony do grzbietu mały węzełek. Nauczylismy go z Gienkiem – to był nasz „Biały Kieł”. Do rogatek Warszawy dobrnęliśmy przed wieczorem. Dwadzieścia parę kilometrów piechotą to spory szmat drogi. Przy wejściu na ocalały most Poniatowskiego stały posterunki, ale to już byli Niemcy. Stąpaliśmy ostrożnie, aby nie wpaść do rzeki. Most wprawdzie nie był zniszczony (Niemcy musieli przez niego wejść do miasta od strony Pragi, więc go oszczędzili), ale był cały podziurawiony.

Wiele dni upłynęło zanim poszedłem do szkoły. Mieściła się w dużym budynku przy ul. Narbutta 14. Nosiła numer 191 oraz dumne imię Marszałka Józefa Piłsudskiego. Już pierwszego dnia zauważyłem, że tablica z imieniem Marszałka znikła z frontu budynku. Kazano ją zdjąć. Pierwszą lekcję prowadziła pani Kołodziejczykowa – jeszcze bardziej wychudzona niż zwykle i jakaś poszarzała. Właściwie lekcja się nie odbyła, a tylko rozmawialiśmy. W połowie zajęć pani Kołodziejczykowa kazała nam wstać.

– Teraz uczymy pamięć pana profesora Radeke, który zginął w obronie miasta.

Staliśmy na baczność. A zatem tak wygląda śmierć – człowiek żyje i nagle znika. Nauczycielka zapytała, kto chce coś powiedzieć. Byłem nieśmiały, ale nie wiem dlaczego podniosłem rękę i wyszedłem na środek klasy.

– Ja mam wiersz – usłyszałem swój nienaturalny głos. Nauczycielka skinęła głową. To dla profesora Radeke – powiedziałem sobie w duchu. Zacząłem niezbyt dobrze. Stopniowo jednak rozkręcałem się, aby w finale mówić płynnie i z wyczuciem rytmu:

„(...) Trupie ulice, domów bohaterskich zwłoki,
dymią krwią jeszcze ciepłą, która nie zastygnie,
nad Warszawą gęstnieją strasznej zemsty mroki,
w głodu ognia i wojny obłędnej maligie (...).”

Klasa zamarła i to dodało mi odwagi. Pani Kołodziejczykowa, krucha przecież kobieta, zmieniła się. Twarz jej jakby się zaostrzyła, a oczy zrobiły się zimne. To ten wiersz spowodował. Mówiłem dalej:

„(...) Jeszcze polski samolot nad tobą zawarczy
i zmartwychwstaniez depcząc antychrysta dzieło,
Virtuti Militari będziesz miała w tarczy,
krzykniesz piersią przebitą – jeszcze nie zginęła.
Rany twoje owinie bluszcz, bandaż zielony,
Wisła je piaskiem złotym opatrzy i mułem,
wież twoich zdruzgotane, kalekie korony
całować będzie biała pierś jaskółek (...).”

Nie znałem nazwiska autora wiersza i dzisiaj też go nie znam, ale po tylu latach fragmenty utworu napisałem z pamięci.

Usiedliśmy. Radeke stawał dwójce bez ostrzeżenia. Mnie też u niego groziła poprawka z matmy. Teraz jednak Radeke już nie żył. A poprawka? Na przerwie poszedłem do pani Kołodziejczykowej.

– Ja miałem poprawkę u pana profesora Radeke – powiedziałem.

– Jesteś dzielny – odparła nauczycielka. – Profesor Radeke byłby z ciebie dumny. Pocałowała mnie, a ja wtedy nie rozumiałem o co jej chodzi.

Nasza buda prezentowała się okazale. Narbutta była cichą i ładną ulicą Mokotowa, a i teraz taka jest. Czas ją oszczędził. Nowoczesny budynek, zbudowany kilka lat przed wojną w kształcie czworoboku, był wyposażony w centralne ogrzewanie, co na owe czasy nie zdarzało się często. Posiadał widne klasy, obszerną salę gimnastyczną, szerokie korytarze i błyszczące jak lustro podłogi z pachnącego drewna. Chyba na wiosnę 1940 roku przyjechali do nas Niemcy i roztrzęsionej dyrektorce pani Dionizie Wysznińskiej dali rozkaz eksmisji w ciągu jednego tygodnia. Świat zaważył się nam na głowę. Do naszego szacownego gmachu, w którym przeżyliśmy tyle pięknych chwil, mieli wprowadzić się SS-mani. Wojna i nas dopadła. Zabrała ojców, a teraz sięgnęła po szkołę. Żal był szczery, bo co innego

narzekać na szkołę i nawet wagarować, a co innego oddać ją Niemcom. Od zarządu miejskiego dostaliśmy kiepski i ciasny dom na Wiktorskiej. Nie było tam centralnego ogrzewania, ani korytarzy do urządzania biegów na pauzach. Dach przeciekał. Ten budynek nie zdobył mojego serca. O starej budzie na Narbutta nigdy nie zapomniałem. A związało mnie z nią na całe życie jeszcze jedno wydarzenie...

Pewnego dnia biegłem ulicą Narbutta w stronę Puławskiej, gdzie znajdował się przystanek tramwajowy. Gdy mijalem dawną budę zobaczyłem przed gmachem kilka niemieckich ciężarówek. Były czymś załadowane aż po dach. Nikt nie pilnował, tylko dalej kręciło się kilku Niemców w mundurach. Podszedłem bliżej i przyjrzałem się.auta załadowano książkami ze szkolnej biblioteki. Olbrzymia liczba bezbronznych książek! Były mi bliskie, bo bardzo lubiłem czytać. Dokąd je wiozą? Autami SS – na pewno nie do naszej nowej szkoły na Wiktorską. A zatem do pieca... Szybko podjąłem decyzję – podszedłem ostrożnie do jednej z ciężarówek i na chybił trafił wyciągnąłem jedną książkę. Była w twardej oprawie, obłożona porządnie w beżowy papier. Więcej nie mogłem wziąć, bo nadszedł SS-man z pistoletem maszynowym. Samochody zaraz ruszyły i znikły za zakrętem. Nie mogłem ich dogonić, ale tę jedną książkę miałem pod koszulą. Zdyszany dobiegłem do przystanku. Było już bardzo późno i mogłem zdążyć tylko na drugą lekcję. W tramwaju ostrożnie wyciągnąłem książkę, nachyliłem się, aby nikt nie zauważył i udałem, że zawiązuję sznurowadło. Mógł być jakiś szpicel, wiedziałem o tym, a wyjęcie książki spod koszuli zawsze jest podejrzane. Spojrzałem na kartę tytułową. Udało mi się ocalić moją ulubioną powieść, którą czytałem niedawno w szkolnej bibliotece. Było to „Quo vadis” Henryka Sienkiewicza. Książka przeleżała u mnie wiele lat.

W 1945 roku wróciłem do Warszawy z wojennego exodusu. Los zagnał mnie aż do Austrii. Z naszego drugiego mieszkania przy Kazimierzowskiej 69 (z Wiśniowej w 1940 roku wyrzucili nas Niemcy, a dom zajęli dla oficerów) prawie wszystko przepadło. Książka jednak przetrwała. Jak to się stało – nie wiem. Pewnego dnia, już jako uczeń Liceum im. Tadeusza Rejtana, poszedłem do starej budy na Narbutta. Wróciła na stare śmiecie i lizała wojenne rany. Pod pachą trzymałem „Quo vadis”. W bibliotece, która mieściła się w innym skrzydle, przyjęła mnie młoda kobieta. Nie wiem dlaczego, ale byłem wzruszony.

– Czy pani kocha książki? – zapytałem.

Przyjrzała mi się bacznie.

– Nie rozumiem, ja tu pracuję.

– Czy żyje pani Dioniza Wysznińska – zmieniłem temat. – A pani Kołodziejczykowa?

– Tego nie wiem. Proszę iść do dyrekcji. Tam pan się dowie, ale u nas nie pracują.

– Nie chodziła pani do tej szkoły, prawda?

– Nie, nie chodziłam – odparła.

– Rozumiem – powiedziałem i położyłem przed nią „Quo vadis”. – Zwracam – dodałem.

Zajrzała do rejestru.

– Tej książki nie ma w spisie. Ale nie wszystkie zostały już zarejestrowane. Dlaczego pan ją tak długo trzymał? – powiedziała z wyrzutem w głosie.

Nie wiem dlaczego, lecz nie wyznałem jej jak było naprawdę.

– No cóż, wojna – powiedziałem i szybko wyszedłem.

Kiedy chodzę od czasu do czasu na bródnowski cmentarz, gdzie w kwaterze 39 D zapalam Gienkowi świeczki (był żołnierzem AK, zginął w 1944 roku na skrzyżowaniu Narbutta i Kazimierzowskiej), to zawsze mówię: „wiesz, nie mam już tego „Quo vadis” – oddałem naszej szkole.” I wierzę, że Gienek mnie wtedy słyszy – on, który się bił z Niemcami naprawdę. A ja tylko przechowałem tę jedną książkę...